

## I Gdzie

Zjedli niewiele lub nic. Potrawy, choć bardziej niż zwykle wyszukane, bo usłużny strażnik starał się je dobrze przyprawić, miały smak nieprzyjazny, każdy kęs w ustach zmieniał się w popiół. Brak apetytu jest, jak wiadomo, nieodzowny w pożegnalny wieczór. W związku z czym, jako że egzekucja odbyć się miała nazajutrz skoro świt, baron nie przestawał się oburzać na tę hipokryzję, która każe podawać skazańcom niepotrzebne smakołyki, zatruwając je równocześnie bez skrupułów myślą o bliskim końcu.

– Śmierć z pustym brzuchem nie będzie piękna – narzekał. – A jeszcze tak wcześnie! Kiedy światło budzi w nas największe nadzieje...

Saglimbeni przyznał mu rację na swój zwykły poetycki sposób:

– To fakt, że zachód byłby porą stosowniejszą. Z lekka żalobny, niskie ciemne chmury w kolorze karmazynu i fioletu, które litościwie nakłaniają do spokoju. A tak, wręcz odwrotnie, odniesiemy wrażenie, że jesteśmy przedmiotem niewybaczalnej eksmisji.

Żołnierz nie powiedział słowa i zdawał się przyglądać własnym butom. Postawił kołnierz bluzy, jakby mu było zimno. Za to Narcyz:

– Wieczór czy rano, co to za różnica – wyjąkał i niepomyślnie na dobre wychowanie zaczął płakać.

Forteca jest na wyspie jedynym zamieszkanym miejscem. Mówi się „wyspa”, lecz należałoby powiedzieć „skała”. Bo jest to po prostu podwodna skała tufowa, wypiętrzona na kształt

ogromnego nosa, tu i tam wznosząca się mozolnymi stromi-  
znami, częściej opadająca nagim urwiskiem. Od stałego lądu  
dzieli ją cieśnina niezbyt szeroka, drugi brzeg jest w zasię-  
gu wzroku. Ale przeprawa, czy to z powodu złośliwych prą-  
dów, czy wiatrów, jest dla statków bardzo trudna, dla ramion  
pływaka niemożliwa; nie było takiego uciekiniera, którego  
zwłok, oblepionych algami i okaleczonych przez ryby, nie zna-  
leżono by na skalnych wystęпах Capo Nero.

Obwód terenu wynosi milę, półtorej. Z rzadka kiełkują  
na niej nasiona przyniesione przez wiatr, rosną tylko kapary  
i cząber. Nie pasą się tu zwierzęta, z wyjątkiem kóz dających  
mało mleka i stada bezpańskich osłów, które biegają po plaży  
u stóp skał; w mroźne styczenie słychać nocami ich przewle-  
kle ryki...

Idąc zatem w górę krętą ścieżką, natyka się wzrokiem z jed-  
nej strony na nieskończoność otwartego morza, nieustanne  
falowanie błękitu aż po zachodni horyzont; z drugiej, za wod-  
ną odnogą, na ląd, gdzie dostrzec można półkole lilipucich  
domków bezludnego i nieruchomego portu. Na równie pu-  
stym niebie, między Królestwem a wyspą, krąży tylko samot-  
ny ptak, zwiastun tajemnych wyroków.

Gdy wreszcie, zakręt po zakręcie, dotrzecie na szczyt wzgó-  
rza, nos, o którym mówiliśmy, kończy się nagle płaszczyzną,  
na której w bezruchu mocnego granitu, przeciętego jedynie  
podwójną bramą, wyrasta forteca zbrojna potężnymi bastio-  
nami. Po przekroczeniu bramy – jeśli podawszy strażnikom  
hasło, pójdziecie dalej, ciągnąc po bruku zmęczone już nogi,  
mając nadal w uszach skrzyp zawiasów – dostrzegacie na  
archiwolcie tablicę, która swoim twardym dystychem budzi  
w was lęk, a jednocześnie krzepi:

*Donec sancta Themis scelerum tot monstra catenis  
vincta tenet, stat res, stat tibi tuta domus*<sup>1</sup>.

Roztrzásając sens napisu, posuwacie się dalej dziedzińcem, a to starając się wyminąć pokrywające go dziury, które dają ujście wodzie deszczowej, a to podziwiając tkwiącą pośrodku kapliczkę, przystosowaną do odprawiania w niej nabożeństw, bardzo potrzebnych w miejscu, gdzie żyje przez przypadek i wiele jest okazji, by życie stracić: czy za sprawą chronicznej dyzenterii, na którą cierpią więźniowie, czy okrucieństwa współtowarzyszy, łatwo chwytających za nóż, czy wreszcie karze śmierci, wymierzanej, za niewielkie nawet przewinienia, według uznania Komendanta.

Na czterech rogach placu tyleż budek strażniczych chroni wartowników przed niepogodą, a osiem gazowych latarni rozjaśnia im noc. Chociaż profos uskarżał się nieraz na cień, który zalega nadal w wielu miejscach i sprzyja złym zamiarom. Na co oficer z intendentury:

– A niech uciekają, jeśli są do tego zdolni. Dla nas mniej gąb do wyżywienia. Więcej mięsa dla morskich drapieżników.

Ogólniej i bardziej obrazowo mówiąc, układ budynku przypomina szczypcę skorpiona, które schodzą się i niemal stykają, zostawiając miejsce wyłącznie na bramę. Stąd, jeśli podnieść wzrok w kierunku wieży, widać opadające pionowo mury ze stu wąskimi szczelinami okien od stu cel i sto widmowych twarzy, które wyglądają ciekawe nowo przybyłych.

---

<sup>1</sup> Dopóki święte Prawo trzyma złoczyńców w łańcuchach, bezpiecznym jest Państwo i własność. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

– Rezydencja pompejańska – zażartował Saglimbeni, przechodząc przez okratowane wrota. – Plecami do świata, z widokiem na zasobne wnętrze. Słowem, Sanssouci, wilegiatura dla Ich Ekscelencji...

Magazynier wojskowy, który nieopodal opróżniał pęcherz, nie zrozumiał wprawdzie nic, ale poczuł się urażony i podszedł, by wepchnąć mu w kajdanki prawy kciuki i lewy palec wskazujący. Wystarczyło zresztą pięć minut, by więzień, czując żar słońca bijący od pochyłych dachów, zdał sobie sprawę, że znalazł się w którymś z kręgów piekielnych.

Do pomieszczeń na parterze wchodzi się z arkadowego krużganka, czyli galerii, i służą one do celów wojskowych i cywilnych. Chcąc zapoznać się z nimi i dokonać krytycznego przeglądu całości, najpierw natykamy się na salę straży, często huczącą od głosów, ze stołkami, stojakami na broń i zapasowym ekwipunkiem skórzanym; dalej na zbrojownię, nazywaną dumnie „arsenałem”; dalej, kolejno, na stolarnię, kuźnię, areszt karny, czyli izbę tortur, izbę przyjęć z gabinetem lekarza, pachnący konopiami skład odzieży, jadłodajnię, piekarnię, czyli skład racji, kuchnię, czyli palenisko, kwatermistrzostwo, latrynę, kwaterę żołnierzy. W końcu, tam, gdzie w dół prowadzi siedem schodków, niskie drzwi do podziemia kryją zatwardziałego więźnia, który, na wpół straciwszy zmysły, co dzień o świcie na wzór śpiewu koguta intonuje skrzekliwe kukuryku...

Komendantowi należy się całe skrzydło na pierwszym piętrze. Ale on, stary i schorowany wdowiec, ograniczył się do trzech pokojów, oddając inne, przyległe, na potrzeby oficerów. Łaskawość pełna wyrachowania, której jedynym celem jest nadanie pozorów wizyt grzecznościowych najbardziej

niedyskretnym inspekcjom. Jego mieszkanie poznaje się nie-  
mniej po dwóch chorągwiach zwieszających się z balkonów:  
białej fladze z królewskimi liliami i żółtym sztandarze pułku,  
z czarnym gryfem na tarczy otoczonej nazwami miejsc słyn-  
nych zwycięstw.

Z tych heroicznych wspomnień mało robią sobie wróble,  
które wybrały drzewce na miejsce wypoczynku przed peł-  
nym świergotu lotem w górę, do krat. Tutaj, na parapetach  
okien, czeka na nie zawsze o świcie garstka okruchów rzu-  
conych przez więźniów, którzy chcą zapomnieć o samotno-  
ści. Skąd, spoufalone już i zuchwałe, wlatują przez kraty do  
zaprzyjaźnionych cel, dziobiąc wręcz niektórym z ręki i ska-  
cząc żartobliwie po ogolonych czaszkach lub przysiadając cie-  
kawie na nędznych sprzętach... Póki nie przywoła ich lazur  
nieba i nie pofruną znów – one, które mogą to zrobić – na  
zewnątrz.

Cele, powiedzmy coś o celach.

Podłużne i ślepe, z jedynym otworem w górze, którego  
można dosięgnąć, opierając się na rękach drugiego, i skąd wi-  
dok na dół jest mizerny, bo przemyślnie ścięte ościeże prawie  
uniemożliwiają zobaczenie czegokolwiek.

Podłoga liczy trzystaście dłoni na siedemnaście i obejmuje,  
liczone po kolei dla zabicia czasu, pięćdziesiąt jeden smoło-  
wych płyt, które gdy zbyt wrośnie upał lub mróz, zaczyna-  
ją się dziwnie pocić. Cztery prycze, podnoszone, kiedy robi  
się widno, opuszczane wieczorem, jedna naprzeciw drugiej.  
Między nimi wąskie przejście, pole wieczornych potyczek,  
gdzie na szczupłej przestrzeni ścierają się i wybuchają najróż-  
niejsze uczucia: zapiekłe złości i rozpaczliwe złudzenia.

Wiecznie płonąca lampa oliwna, której światło wystarcza do liczenia rzutów kośćmi, wisi na kołku wbitym w ścianę. Nad nią obrazek Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, przyklejony śliną i miąższem chleba, słucha płynących na przemian obelg i modlitw. Okopcona zresztą i czarna, schronienie małeńkich pajęczków, które nie tyle litość, co lenistwo oszczędza.

Mury wilgotne, z opadającym tynkiem: co pozwala odebrać kawałek kredy i bawić się w rysowanie na podłodze różnych figur. Chyba że kto woli, nie wierząc w możliwość ukończenia roboty, wyplatać słomiane kapelusze ze słomy z sienników...

Sprzętów jest niewiele: cztery kamienie w roli stołków, osadzone w podłodze, by nie mogły posłużyć za broń; w jednym kącie gliniane naczynie porysowane w serca i noże; dębowe drzwi z żelaznymi śrubami, wyposażone w wole oko do szpiegowania i nieustannych kontroli oraz w otwierane od zewnątrz okienko do przekazywania zarówno menażek z zupą przypominającą pomyje, jak i kubła z odchodami. Opróżnianiem których do kadzi zawieszonych na dwóch żelaznych prętach zajmują się, prawdę mówiąc, nie wartownicy czy inni żołnierze z załogi, ale dwaj czy trzej cywile, winni bezkrwawych i niezbyt okrutnych zbrodni, szczęśliwi, mimo obrzydliwości tego zadania, że mogą rozruszać nogi na niekończących się korytarzach i zamienić słowo z bardziej pechowymi towarzyszami. Podejmują się niekiedy roli potajemnych łączników między nimi, co w oczach prokuratury stanowi niewybaczalne przestępstwo; ceną za nie jest nierzadko salwa z muszkietów. Co zyskało Komendantowi modny ostatnio przydomek znanego operowego basa: „Sparafucile”, „Wystrzałowy”.

O Królestwie i królu nie docierają tu żadne wiadomości. Z hałasów na murach, jakby odgłosu dalekich werbli, skazani dowiadują się tylko, że królowej urodził się martwy następca i że zatem, gdyby umarł król...

Wiedzą również o morzu, które w wietrzne dni bije z hukiem o podnóże wyspy; ale wiedzą też o niebie, którego kwadraty jawią się w szczelinach okien pociętych żelaznymi prętami, zmieniając barwy od cielistej do szarej i perłowej, zależnie od pory dnia i roku. Wiedzą o gwiazdach i ich wędrówkach; o chmurze, która przez kilka miesięcy w samo południe przepływała na kształt upartej nadziei, po czym rozsnuwała się, jak rozwiązana kokarda we włosach biegnącej dziewczynki; chmurze, która w końcu zniknęła i nie pojawiła się już nigdy. Wiedzą, że ktoś za morzem myśli jeszcze o nich, jako że raz na miesiąc wolno im (wielkoduszność hipokrytów!) otrzymywać prezenty: tytoń do fajki, bieliznę, utensylia do parzenia kawy, Biblię wielojęzyczną... Raz nawet mosiężny kałamarz. Nieprzydatny z dwóch powodów: bo nie ma atramentu; bo pisanie jest zakazane. A przede wszystkim wiedzą, że Władza o nich nie zapomniała i zmierza powoli z odległych sędziowskich foteli ku zamknięciu sprawy lakową pieczęcią i podpisem, które oznaczają kres (szum w uszach wskazuje jak bliski) ich ziemskiej historii.

Tymczasem w snach widzą Królestwo: drogi, lasy, bogate równiny, gdzie niekiedy, jadąc konno, ujrzeć mogli samotnego woła ciągnącego pług, a za nim figurkę dziewczyny z gołymi nogami, w chusteczce na jasnych włosach, która ich pozdrowiała, a oni w odpowiedzi machali ręką i to było jak pocałunek..., opery i teatry rzucające morze światła na chodniki, twarze kobiet w palarni błyszczące młodością i zdrowiem, wachlarze, karety, pożegnalne spojrzenia w tłumie, zanim trzask

bicza rozdzieli w ciemności losy... i szaleńcza radość, że jesteśmy żywi, że we wszystkich naszych członkach krąży zdrowa krew, że przenika je wierne ciepło, że są pełne słów i opowieści; harmonijne, może nieśmiertelne!

Budzi ich w środku nocy, jednego po drugim, ostrzegawczy sygnał w głowie, którego nie zwiódł żaden przyjazny księżyc i który chce przypomnieć każdemu z nich, z dokładnością zegara, ile dni, godzin i minut, zostało mu do życia. Budzi ich. I pierwszy odblask wilgotnego słońca wita ich zawsze bezsennych, z oczami utkwionymi w sufit, lepkich od snu i strachu, zajętych kreśleniem wśród belek powały linii zuchwałej ucieczki, ciągu bocznych przejść, włazów i szpar, na końcu którego czeka ich szczęśliwy stan nieważkości, powietrzne szaleństwo, uczucie szybowania, które w ich języku wewnętrznym, niepisanym i niemówionym, odpowiada dziewczemu i świeżemu pojęciu wolności.